Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 39. Poznań, dnia 23. Grudnia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Des idées Napoléoniennes
par le prince Napoléon Louis Bonaparte.
Paris, 1839.

(Ciąg dalszy.)

Mimo to jednak, wojny Napoleońskie, że zmięszały z sobą wszystkie ludy Europy, że zwycięzcy byli mężami rewolucyi, niosły z sobą i zaszczepiały wszędzie nowe wyobrażenia, podkopujące zbutwiałe średnich wieków zabytki; odmłodziły się ludy od Gibraltaru do Moskwy, od Norwegii do Neapolu, zajędrniał nowy duch czasu i przeparł zastarzałe błędy. Z tego więc względu powtórzyć można z autorem: »że wojny cesarskie były jako wylew Nilu, którego wody, gdy okryją pola Egiptu, nie widać nic, jak zniszczenie; ale zaledwie opadły, wyrasta po ich szlaku plon bujny, obfity.«

To, coby właściwie ideami Napoleona nazwać można, zachowuje nam autor do rozdziału 5go, gdzie wykłada, co cesarz, po pokonaniu całéj Europy, do skutku doprowadzić zamierzał: chciał nadać zupełną wolność Francyi i utworzyć zjednoczenie narodów europejskich. Zanim się nie ustatkowały namiętności, nie wróciły porządek i praw powaga, nie ustalił stan spółeczny, wojny zagraniczne nie ucichły, nie można było myślić o zaprowadzeniu wolnych instytucyj we Francyi. Po dopięciu zaś tego wszystkiego nie miał się ich już czego lękać Napoleon; bo potęga jego polegała na massie narodu, otaczał się jego zaufaniem, powiązał jego interesem. Widziano w roku 1811, z jakim zapałem lud Paryzki witał potomka dynastyi cesarskiéj, tam właśnie, gdzie niedawno przedtém poprzysięgał nieubłaganą zemstę królom. Tak ugruntowany, mógł więc Napoleon zaprowadzić i najrozleglejsze prawo obiorcze, i wolność rozpraw w izbach konstytucyjnych, i wolność druku bez cenzury. — Przyznajemy, że to wszystko mógł we Francyi zaprowadzić Napoleon, ale czyliby był zaprowadził, na to, tém nam nie dał żadnéj rękojmi, że w blizko 20 latach nieograniczonego panowania wciąż naród trzymał w kajdanach absolutnéj władzy, tylko, że tych ogniw, jak się jeden z jego generałów wyraził, nie dojrzeć było przed wieńcami laurów, któremi je pokrywał. Był to zaprawdę mąż wielki, silny wolą i geniuszem, biegły w pomysłach, sprężysty w ich wykonaniu, ale dla tego właśnie, że osobistą przewagą wszystkiego prędzéj i łatwiéj dokazywał, nie miał żadnéj wiary w konstytucyjne obrady narodu, w wolny rozbiór opinii niepowołanych osób. Nadto nawykł za nadto długo doświadczonéj mu zewsząd uległości, aby czyjegokolwiek zdania miał kiedyś słuchać jako prawa.

Europa skonfederowana według systemu Napoleona jest wielkim pomysłem, który już Henryk IV. miał w projekcie. Być może, żeby go Napoleon był do skutku przyprowadził, gdyby wszystkie mocarstwa europejskie shołdowane pod jego poszły zwierzchnictwo. Zdaje się atoli, że przewaga Francyi nad innemi narodami i najwyższa dziedziczna władza, złożona w dynastyi Napoleona, byłyby téj konfederacyi koniecznemi warunkami, obok których wolność pojedyńczych ludów i ich władców ostaćby się nie mogła, i prędzéj czy późniéj musiałaby się cała organizacya rozwiązać. Ów więc obraz ciągłego szczęścia i pokoju, będący pod powyższemi okolicznościami utopią, nie zachwyca nas tyle, co autora, który z uniesieniem odzywa się:

»Z uczuciem zachwycenia, jakby po rozkosznem marzeniu, zatrzymuje się myśl nasza nad obrazem szczęścia i trwałości, któryby przedstawiała Europa, gdyby wielkie zamiary Napoleona były się dokonały. Kraj każdy zakreślony w naturalnych swoich granicach, połączony z sąsiednim przez stósunki przyjaźni i wzajemnych korzyści, byłby kosztował u siebie wszelakich dobrodziejstw z niepodległości, wolności i pokoju. Monarchowie wyjęci z pod obawy i podejrzenia, przykładaliby się jedynie do ulepszenia losu ludów swoich i zaprowadzenia do kraju wszystkich dóbr cywilizacyi.«

»Ludzie wolności, wy, coście cieszyli się z upadku Napoleona, jakże w okropnym zostawaliście błędzie!

Ileż to lat jeszcze upłynie, ile będzie potrzeba walk i poświęceń, zanim dojdziecie do celu, do któregoby was on był doprowadził!«

»I wy, mężowie stanu, coście na kongresie wiedeńskim byli panami świata, stojąc na rozwalinach cesarstwa, nie poznaliście stanowiska swojego, które mogło było być dla was tak piękne. W imie wolności, a nawet w imie swawoli, podburzyliście ludy przeciw Napoleonowi; wywołaliście go z Europy, jako tyrana i despotę, głosząc, żeście oswobodzili narody, zapewnili im pokój. Uwierzono wam na chwilę, ale nic na długo nie ostoi się na podstawie kłamstwa lub błędu! Napoleon był zawarł tę otchłań rewolucyi, którąście wy otworzyli na nowo, aby go pochłonęła!«

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

K o n i k.

1.

O koniku ci zanucę,
Krakowianko hoża,
Co tańcuje między ludem,
jak strach przez rozdroża.

2.

W oktawę Bożego-Ciała,
lat temu niemało,
Gdy po rynku obnoszono
Chrystusowe ciało.
Lud się modlił, giął kolana,
bo klęski rozliczne,
Najechały, jak szarańcza,
nasze łany śliczne.

3.

Lud się modlił, — między tłumy
straszna wieść przypadła,
Z rozwianemi na wiatr włosy,
spłakana, wybladła,
I wrzasnęła w serca mężów,
i w serca niewieście:
»Oj! bieda nam, wielka bieda,
goreje przedmieście! —
»Srogi Tatar, chciwy łupu,
w zwierzyńcu plądruje;
»Krwią się poi i na zdobycz
jako wilk poluje!« —

4.

Ale prędzéj dęby w lesie
zegnie oddech burzy,
I na wióry je rozniesie,
niż Krakowiak stchórzy.
Przypadł Włoczek ze zwierzyńca,
rękę podniósł w górę;
Jak gdyby chciał zażegnywać
piorunową chmurę.
»Za mną bracia! na tych zbójców,
niechaj zginą marnie!
Niedozwólmy ziemi naszéj
najeżdżać bezkarnie!« —

5.

Na wiatry czerwoną chorągiew rozwinął,
A z chorągwi orzeł, jak anioł, wypłynął.

6.

Zanim w warkocz nocy
słońce włosy zwiło,
Na wiślanym brzegu
Tatarów niebyło.
Odbiegli zdobyczy i duszy odbiegli,
I trupów taborem zwierzyniec zalegli.

7.

Oj! było wam siedzieć na stepie bez końca,
Krakowianek oczu nie oglądać słońca;
Nieoglądać słońca, bo nie wam Tatarzy,
Naszych dziewic oko, miłością się zarzy;
Zarzy się miłością, jak pszeniczne pole,
Lecz pszeniczka dla nas, a dla was kąkole!

8.

W tatarskiém ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się, jak Włoczek harcuje po błoniu.
Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje.
Każdy z nas szanuje, — a kto się zapiera,
Pamiątki swych ojców — tym wiatr poniewiera.

9.

Włoczki nasze zuchy po Wiśle pływają,
Ona im powolna, bo jéj brzeg kochają.
I chociaż powodzią, czasem się podąsa,
Jak harda dziewczyna, Włoczek po niéj pląsa.
Włoczek po niéj pląsa, w jéj uściski pada,
Z jéj szumiącą falą, jak z kochanką gada.
Ona mu też nieraz odpłaci sowicie,
Bo nie jedno cudze uratuje życie!
Uratując życie, piosenkę zanuci,
A fale to ściśnie, to się z niemi kłóci.

E. W.

Obrzędy i uroczystości w Wilnie i jego okolicach.

Od bardzo dawnych czasów zbierano się w Wilnie na miejsce zwane Rosą; jest to zabytek święta pogańskiego Lado, które obchodzono nocnemi tańcami, śpiewami, zapalaniem ogni i skakaniem przez nie. Obrzędy niektóre tego pogańskiego obchodu przetrwały do dziś

dnia, lecz zmienione i zdenaturalizowane ciągiem kilku innéj cywilizacyi i ducha wieków. Miejsce, gdzie się na tę uroczystość zbierano pod Wilnem, dziś w części smętarzem zajęte, od téj uroczystości Rosą się zowie, a sam obchód u Rusi Kupałą, u Słowian południowo zachodnich Sobotką. Gdy wprowadzone zostało do Litwy chrześciaństwo, długo napróżno silono się zniszczyć ślady poganizmu, i ta uroczystość przeniesiona na wigilią Św. Jana chrzciciela, jakby już schrystjanizowana, tolerowana, gdy niemożna było jéj zagładzić, utrzymała się do dziś dnia. Niewiadomo czyli szukanie kwiatu paproci, pospolicie w tym dniu odbywające się, jest pogańskim zabytkiem, czy się późniéj utworzyło. To pewna jednak, że lud wierzy w kwitnienie paproci téj nocy, a kwiat cudotworny paproci, według przesądu pospólstwa daje razem właścicielowi niewidzialność i wzrok drugi dosięgający ukrytych skarbów. Zbliżeniu się do niego, gdy szczęśliwy nań natrafi, stają na zawadzie okropne straszydła otaczające go, węże, smoki, płomienie, huk i ryk, które nieustraszoném sercem przezwyciężyć trzeba.

Z całego starego pogańskiego obrzędu tyle dziś tylko śladów w zbieraniu się na Rosę zostało — dawne nocne sobotki śpiewy i tańce zmieniły się w wieczorną przechadzkę i nic więcéj. Ani wątpić, że to podanie jakkolwiek już ogołocone przez czas z wielu dawnych dodatków i tajemnic zapomnianych, na długo jeszcze trwać będzie w pamięci ludu.

Oprócz téj przechadzki w inne też dnie uroczyste jest zwyczaj robienia wycieczek w okolice Wilna. Tak na Zielone Świątki do Kalwaryi i Werek, na Św. Jan do Hrybiszek, na Św. Piotr na Antokol. Wielu z tych zwyczajów nabożeństwo było pierwszą pobudką, tak jak i licznie od dawna uczęszczanych piątków, u P. Jezusa na Antokolu, które jednak połowa pielgrzymów przepędza w ogrodzie Sapieżyńskim, niezaglądając nawet do kościoła.

Processyą do Trok w dzień N. Panny, którą liczny lud odbywa w towarzystwie duchowieństwa, pozostałą jako pamiątek klęsk dawnych, ustanowili byli Jezuici w czasie morowego powietrza, z prośbą o odwrócenie téj plagi od miasta. Chodzili naprzód tylko od kościoła do kościoła, potem raz pierwszy do Trok z całą młodzieżą i biskupem, który szedł boso, w. r. 1604. (Rostowski L. V. 221.) Młodzież towarzysząca ubierała się w początkach w szaty pokutne, uzbrajała w dyscypliny, rozdzielona na trzy świętego Różańca części. Wspomina o takowéj processyi Kojałowicz (Miscellanea 26. 27.) i przyznaje ustanowienie jéj Jezuitom i młodzieży akademickiéj; dodaje, że gdy późniéj młodzież dla nadużyć i swawoli uchylono od tych przechadzek pobożnych, lud jednak chodzić nie przestał, a nawet zbiegać się w święta letnie N. Panny na processye, tysiącami z Kowna i Merecza. — Przykład świątobliwych biskupów dodawał gorliwości, niektórzy z nich jak Benedykt Wojna chodzili boso mimo wieku i godności, równo z ludem pielgrzymując i modląc się. Toż pisze Niesiecki o sławnym z pobożności Jezuicie Szymonie Wysockim, który ze składek podniósł kościół Św. Szczepana.

Do takich processyj publicznych należały cechy z chorągwiami, bębnami, rynsztunkiem swoim wojennym, muzyką, rada miejska, młodzież ucząca się, duchowieństwo zakonne. Cechy miały wyznaczony sobie porządek iścia, aby się o precedencyą nie kłóciły, gdyż częste bywały przykłady nawet bitw z tego powodu między chorążymi cechów. Zdarzały się, jak świadczą akta miejskie, wśród processyj, tumulty, strzały i poboje.

Policzyć też potrzeba do obrzędów miejskich coroczne, we dwa tygodnie po trybunale musztry cechowe (monstry), które zbrojni mieszczanie odbywali naprzód na polu pod Św. Szczepanem, potem przed ratuszem.

Jezuici wprowadzili do Wilna większą część obrzędów religijnych, które od ich czasów z nadzwyczajną wspaniałością i dziwnemi częstokroć dodatkami obchodzono. Z nich najsławniejsza była processya Bożego Ciała, która poczęła być obchodzoną w Wilnie około 1586 (Rostowski L. III. 157.), z tém większą okazałością, im bardziéj na nią wykrzykiwali dyssydenci. — Młodzież jak najwytworniéj ubrana, ze świecami gorejącemi, podzielona na cztery części szła, śpiewając dobranemi głosy pieśni, jakich przedtém, pisze kronikarz Jezuitów, nigdy w Wilnie nie słyszano. Daléj następowała reszta uczniów parami; pachołcy lud cisnący się odganiali. W pośrodku niesiono krzyż ogromny złocisty, błyskotkami wysadzany. Szli potem poprzebierani jedni za proroków, drudzy za świętych żołnierzy, za geniusze, aniołów ze skrzydłami połyskującemi od złota i błyskotek.

Podobne processye wspaniałe a dziwaczne trwały jeszcze w takim składzie, w jakiméśmy je opisali po rok 1636., bo w tym czasie wyszło opisanie processyi Bożego Ciała, w którém wzmiankowane są posągi, maski, malowidła allegoryczne, poprzebierane osoby za świętych i djabłów nawet (Chłędowski p. 92.)

Późniéj nieco ustały zbyteczne przebierania i allegorye żywe, przestano nosić za processyą posągi, nie wchodziły w nią maski; lecz ustawianie czterech ołtarzy na ulicach pozostało, a co większa strojenie domów

zewnątrz, wywieszanie kobierców, obrazów, makat, obstawianie ulic drzewami, zarzucanie kwiatami. Chochłowski, opisując taką processyą w r. 1695, namienia o strojeniu ulic i domów, dodając, iż cała ludność wysypuje się na ulice i towarzyszy pobożnie processyi. Jeden ołtarz ubierali zwyczajnie Sapiehowie w swoim pałacu naprzeciw Dominikanów, drugi był w rynku, jak tenże wspomina. Sławna to była processya i zgorszenie, kiedy biskup Brzostowski w zwadzie z Sapiehą ominął ołtarz Sapieżyński i poszedł z ewangelią pod ratusz koło pręgierza i szubienicy, lud zaś i zakony nie dzieląc jego gniewu i nieprzyjmując rzuconéj na Sapiehę klątwy, udały się drogą zwyczajną.

Z podobnemi po mieście processyami obchodzone były święta inne, jako Ś. Kazimierza z processyą od katedry do jego kościoła w rynku, na pamiątkę B. Jozafata Kuncewicza z pochodem uroczystym od Ś. Jana do Ś. Trójcy i wiele innych. Równie uroczyste były processye Ś. Marka, dni krzyżowych, Różańcowe u Dominikanów, a w toż święto Jezuici odprawiali drugą od Ś. Jana do Ś. Szczepana za miasto; — na Ś. Michał u Bernardynów. — Wspomnim tu także, że Franciszkanie, Dominikanie, których zakonów założyciele jak wiadomo, byli współcześni i przyjaciele a przyjaźń swoją przekazali zakonom, wzajemnie u siebie odprawiali nabożeństwa w dni S. Franciszka i Ś. Dominika. I tak w wigilią Ś. Franciszka szła processya całego zakonu do Franciszkanów, Dominikanom oddawano klucze klasztoru, oni celebrowali, gospodarowali, nawzajem znowu na Ś. Dominika. Zwało się to Filadelfią (Przyjaźnią braterską.)

(Dokończenie nastąpi.)

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,
Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

W Piątku dziedzicznéj majętności pana Andrzeja Grudzińskiego, dwór, oficyny, folwark, chaty chłopskie, karczmy, a nawet stodoły i chlewy pozajmywane przez wielkopolską szlachtę. Na dziedzińcu dworskim taki tłok szlachty, że ledwo obracać się mogą: rzekłbyś, że jakaś niewidzialna ręka, jak maku jéj tam nasiała, a wszyscy wołają: »Niech żyje Karol Gustaw! niech żyje król Szwecyi! niech żyje nasz przyszły pan!« i wszystkich usta ku bramie wrzeszczały i wszystkich oczy ku bramie patrzyły.

Z bramy tylko co wyjechało kilkunastu jeźdźców; jedni są przybrani w hełmy i w płaszcze nakształt rycerzy mieczowego zakonu, tylko niewidać krzyżów na lewéj stronie i przyłbice odkryte, drudzy w polskich bogatych szatach. Przedni jeździec miał purpurowy płaszcz i biały pióropusz przy złocistym hełmie, i na nim rytą koronę. Dwustu rajtarów stojących za bramą za jeźdźcami się ruszyło, i wszyscy ciężkim kłusem kopnęli drogą ku Kaliszowi. To król szwedzki wracał z biesiady od kaliskiego wojewody; dla pokazania, jak dalece zawierza Wielkopolanom, w poczcie dwiestu koni tylko zawitał w gościnę między tysiące szlachty, których ojczyznę najechał i z którymi jego żołdactwo obchodziło się, jak z podbitym narodem. Szlachta oszołomiona blaskiem korony, wielkością potęgi, przyjęła swojego wroga, jak gościa, jak dobrodzieja, jak pana. Zdaje się, że wszystkie te ramiona znikczemniały, wszystkie te serca bić przestały dla Polski.

Przy saméj bramie dwóch szlachty żywiéj rozmawiało, jak inni — »To mi król, widzieliście, jak przy stole spijał kielichy jednym duszkiem; przed obiadem ośm mil konno upalił i na powrót nie potrzebował kolasy. To nie Jan Kazimierz, co gdzieś tam się spowiada, kiedy mu ostatki korony odbierają.« — »Panie stolniku, dajmy pokój temu nieborakowi, nieczerńmy przynajmniéj Jana Kazimierza, kiedyśmy się najbardziéj przyczynili do jego złéj przygody.« — »Co mi wacpan gadasz, on to przyczyną całego nieszczęścia narodu, wywlokł się z księżowskiéj sukni, ożenił się z wdową po bracie. Jakże chciałeś, żeby z takim człowiekiem na tronie mogła Polska mieć szczęście.« — »Jak to, krzyczemy na niego za przekroczenia przeciw prawom kościoła, a prowadziemy na państwo człowieka obcego wiarą, krwią, koronie i narodowi polskiemu.« — »Co ci tam po głowie się roją kacerstwa? i Kalwin i Luter to byli chrześcianie tacy dobrzy, jak i my, a że z Papieżem się wadzili, *to też żaden człowiek roztropny nie ma go za pół Boga.*« — »Widzę, panie stolniku, że już zupełnie zaprzedałeś się Szwedowi, a pamiętaj o tém, że Jan Kazimierz ma jeszcze i stronników i wojsko.« — »Śmiéj się z tego, panie Łowczy; spytaj pana Żytkiewicza, on tylko co z Krakowa wraca; on ci najlepiéj powie: na swoje oczy widział, jak wszędzie i wszyscy są przeciw Janowi Kazimierzowi.« — »Daj mi czysty pokój z tym panem Żytkiewiczem. Panie stolniku, między nami mówiąc, to istny obwieś, pijanica, hałaburda, kostera, jednèm słowem lepsi od niego wiszą na szubienicy.« — »Co wacpan chcesz, za młodu się wyszumiał, a teraz się poprawi; wszakże to powiadają, lepiéj że wino za młodu się wyburzy, jak ma się burzyć na starość, zresztą widzisz, jak pan podkanclerz koronny go afektuje.« — Kiwnął głową Łowczy —

»Na biedę przyszliśmy, kiedy tacy, jak pan Hieronim Radziejowski, mają nadawać wartość ludziom; panie stolniku, poczciwy jesteś człowiek, tak kochasz kraj, jak i ja, wciągnęli nas w błoto, wybrnijmy póki czas.« — Stolnik się nasrożył — »Co wacpan gadasz? ja trzymam za Karolem Gustawem, swego słowa nieodstąpię.« — Łowczy nic nieodpowiedział, ale prędko odszedł w drugą stronę. Wtém zbliżył się jakiś szlachcic, zataczając się i w lewo i w prawo — »Ha! albo kto przeciw Karolowi?... milion pare set bomb!... zaraz mu łeb przytnę!« zabełkotał językiem i do szabli się porwał. — »Uspokój się, mój szacowny panie Żytkiewicz,« rzekł stolnik, »my tu wszyscy za jegomością królem szwedzkim, naszym przyszłym panem.« — »Teraźniejszym!... Już Jan Kazimierz zrzucony z tronu; dziś jadę z Krakowa; dziś, jutro albo pojutrze przyjadą posłowie, zapraszając naszego ukochanego Karola na tron. Milion pareset bomb!... exjezuitę na nowo do klasztoru wpakują. Hej, wina! miodu! milion pareset bomb! Wojewodo, wypijemy za zdrowie Karola Gustawa!... bogdaj djabli wzięli exjezuitę!«

Szlachta zaczęła się gromadzić — wtém jakiś głos krzyknął: »Żytkiewicz, do pana podkanclerzego.« — Żytkiewicz wyprostował się, okiem skosił w bok zyza, obtarł ze śliny rudy wąs — »Zaraz ... zaraz ... poczekajcie tu na mnie ... milion pareset bomb ... wypijemy razem!« — i posztykurlał, napadając na prawą nogę.

Pięćdziesięcioletni człowiek okazałéj postawy, twarzy ciągle rozśmiechającéj się zmuszonym uśmiechem grzeczności, przybrany z niemiecka, rozmawiał z wojewodami Kaliskim i Poznańskim i z młodzieńcem strojnym w płaszcz hiszpański; z policzkiem obwiązanym chustką, stanął Żytkiewicz, wyprostował się jak mógł — »Jaśnie oświecony kanclerzu korony i Litwy, mój mecenasie i osobliwszy dobrodzieju, jestem ...« i zachwiał się na bok. — »Panie Żytkiewicz.« — »Na rany Chrystusa, milion pareset bomb się zaklinam, żem ledwie zakosztował dziś wina, to trudy i bezsenne noce tak mi głowę zamroczyły, jakem Podlasiak.« — »Ależ mój panie, wcale ciebie oto nieposądzam, chciałem zapytać przy panach wojewodach o niektóre rzeczy; powiadałeś, że pan marszałek koronny gotów z nami się złączyć, a pan wojewodzic Kaliski, który dziś dopiero przyjeżdża z Warszawy, słyszał z pewnością, że Jerzy Lubomirski zbiera wojsko dla Jana Kazimierza.« — »Milion pareset bomb, nie we śnie ale na jawie, tak jak dziś z jaśnie oświeconymi panami, takem rozmawiał z marszałkiem koronnym; w jego rodowitym pałacu piliśmy kalmusówkę, tęga jak ogień. Jerzy, za przeproszeniem jaśnie oświeconych panów, bo my to dawni koledzy, rozmawiamy z sobą zwyczajnie tak: Jerzy! Julianie! marszałek koronny powiedział: Julianie, jedź żywo, nieżałuj koni, ani siebie, zapewnij Hieronima, przepraszam jaśnie oświeconego kanclerza, zapewnij, niech na mnie rachuje. Milion pareset bomb! i dla czegożby miał co innego mówić a co innego robić? Jerzy, to człowiek szczery.« — Wojewodzic się zapytał: »Niewidziałżeś panie pana Gnoińskiego?« — »Mikołaja? milion pareset djabłów, to mój przyjaciel szkolny, a na jednéj ławce nas wyciągano, i jakże? u niego nocowałem, na jedném łóżku spaliśmy z sobą.« — »Ja pytam pana Żytkiewicza o starostę Hrubieszowskiego Samuela Gnoińskiego.« — Radziejowski się zczerwienił, a Żytkiewicz, chcąc poprawić swoją postawę, przestąpił z nogi na nogę i o mało nieupadł — »Milion pareset bomb, z panem Samuelem, wszak to mój najlepszy towarzysz, razem z sobą włóczyliśmy się po jarmarkach i do jednego buziaczka zalecankiśmy cięli.« — Radziejowski zakończył tę rozmowę, odchodząc do ogrodu i dał znak Żytkiewiczowi, żeby szedł za nim. Wojewodowie nic w tém dziwnego niewidzieli. Żytkiewicz, sługa podkanclerza, zapewne ten mu wytnie słowa prawdy i napomnienia; natrze uszy za podchmielenie się i łgarstwa.

W szpalerze lipowym Radziejowski się zatrzymał — »Niceś mi niemówił o bytności pana Samuela Gnoińskiego w Krakowie?« — »Jaśnie oświecony panie, przez afekt ku twojéj osobie niechciałem o nim mówić, żeby nieprzypominać dawnych rzeczy. Milion pareset bomb, jedno słówko rzeknij, a pojadę i zabiję tego huncwota.« — »Na co to się zdało; ja dawne rzeczy zapomniałem i pan Gnoiński już musiał o nich zapomnieć. Wiem ja poniekąd o jego myślach, on więcéj wart, jak wszyscy ci, co ich tu widzisz.« — »Jaśnie oświeconego pana prawda, ja znam Samuela, jak swoją kieszeń. Raz, milion pareset bomb, kiedyśmy byli w Piotrkowie ...« — »Inną razą mi to opowiesz, a teraz trzeba, abyś się wybierał w drogę i to natychmiast.« — »A dokąd, jaśnie oświecony panie? czy do Łowicza, do exjezuity, czy gdzie indziéj, wszędzie gotowem.« — »Pojedziesz do Krakowa oto z tą karteczką;« — wyjął pugilares i ołówkiem po niemiecku napisał kilka wierszy na małym papierku, zwinął go — »oddaj rabinowi Aronowi.« — Żytkiewicz obrócił papierek — »Jaśnie oświecony panie, czy mam się znosić z żydem, czy prowadzić całą rzecz?« — Radziejowski się uśmiechnął i dobył sakiewkę pełną złota z kieszeni. To dla ciebie na prowadzenie rzeczy, tylko zaklinam cię, nie rób breweryj i żyj w zgodzie z twoimi współkolegami.« — »Dosyć, jaśnie oświecony panie, spuść się na mnie, jak na siebie.«

Tu dał się słyszeć wrzask na dziedzińcu i wołanie: »Panie podkanclerzu! panie podkanclerzu!« i szlachta nawałem sunęła się do ogrodu, prowadząc z sobą żyda z rozczochranemi pejsami. — »Cóż tam się stało, moi mili panowie?« zapytał Radziejowski. — »Co się stało? Jan Kazimierz z ogromném wojskiem na nas idzie.« — »I kozaków i Tatarów na nas prowadzi; ten szelma Chmielnicki związał się z exjezuitą, aby szlachtę wytępić.« — »I Moskwę Gąsiewski odmówił przeciwko nam.« — »Turcy ciągną od Kamieńca w pomoc Janowi Kazimierzowi.« — »Zginęliśmy! sto tysięcy ma wojska!« — »Co waćpan gadasz? Milion! a może i więcéj!« —

»Moi panowie,« odezwał się Radziejowski, »pozwólcie mówić żydowi; on widział to wojsko?« — Żyd puszczony z rąk szlachty drzał z przestrachu, podrapał się w pejsy, zachlipnął się kilka razy — »Jaśnie oświeceni i wielmożni panowie, aj waj, co tego wojska do Łowicza naszło, aż strach! a same kozaki, ani przystępu do nich, wszystko tylko krzyczą: bij żyda, i biją ... i to te kozaki idą na jaśnie oświeconych i jaśnie wielmożnych panów.« — »A wieluż ich tam jest?« — »Nu sto, dwieście, trzysta, tysiąc, milion; albo to ich tam narachować można jak talary. Nu, albo to ja wiem, wielu to ich tam jest, ale jest.« — »Jaśnie oświecony kanclerzu,« rzekł Żytkiewicz, dotykając ręką kolana Radziejowskiego, »pozwól, niech wypytam tego psiawiarę, to szpieg nieprzyjacielski!« — a nie czekając odpowiedzi — »szelmo żydzie, milion pareset bomb, mów prawdę!« i od ucha trzasnął go w mordę po szlachecku. — Żyd aż do ziemi się zgiął — »Aj waj, gwałtu! rozbój! ratujcie!« — A szlachta krzyknęła: »Szelma, szpieg! zabić! powiesić!« i do szabel się porwała. — Darmo Radziejowski wołał: »Panowie! uspokójcie się! panie Żytkiewicz, co też wyrabiasz, czy to się godzi?« — Byliby żyda rozszarpali, ale wpadło kilku nowych szlachty zasapanych — »Nieprzyjaciel idzie; już na Piątkowskich polach. Pan wojewodzic namawia, przebłagać Jana Kazimierza. Panowie wojewodowie na koń wsiadają.«

»Panie Żytkiewicz, żywo niech mi konia przyprowadzą, pojedziesz w swoją drogę. Panie Sulimowski, ruszaj co tchu do Inowłodza, daj znać generałowi Wittembergowi, że Jan Kazimierz się zbliżył, przed nocą może nie będzie nacierać, zresztą zatrzymamy go, jest nas więcéj ośmiu tysięcy, ale proś, żeby się nieociągał z pomocą. Wojewodzica nikt nieusłucha, Polak zmieniać nieumie raz danego słowa, wszak prawda panowie?« — Kilku tylko szlachty krzyknęło: »Niech żyje Karól Gustaw! niech żyje podkanclerz Radziejowski!« — inni zaś cicho wyszli z ogrodu; żyd, widząc się sam, zalazł w agrest i tak się zchował, żeby i sam djabeł go niewynalazł.

(Dokończenie nastąpi.)

K r y t y k a.

Dwaj Zimorowicze.

Gdy z końcem szesnastego wieku pienie ojczyste u nadwiśla ucichło, zabrzmiały niém rozgłośnie strony Podgórza. Wiek niemal temu igrał u łęgów Dniestru młody Rej, przejmując nucenia słowieńskiéj bogini, które w lat kilkadziesiąt Janowi Kochanowskiemu oddawał. *) Natchnęła ona teraz u jednego stoku troje chłopiąt, a naród uznał ich wkrótce swymi kapłanami. Był nim ów sławny Szymonowicz, byli Zimorowicze, nad którymi się dłużéj tu zastanowić umyśliłem. Zagarnęli oni bogatą powiatowszczyznę w swój język, a poezya Polski poczęła odbijać tę różnobarwą pięknotę, jaką jéj ziemie składały. Mimo jednak ich zasług, mimo ogólnych pochwał, które naród chętnie powtarza, panuje co do Zimorowiczów gruba niewiadomość. Jakoweś bałamutne podanie chciało ich mieć jedną osobą, i skleić mimowolnie to, co się w zarodzie swoim wyraźnie odróżniło. Dotychczasowi wydawcy mieszają ich sielanki, jak groch z kapustą. Sędziowie wymawiają wady jednego przygodami drugiego, a w ich ułamkowych żywotach napotkasz nierzadko anachronizmy i uderzające sprzeczności. Wybaczą mi więc czytelnicy, że miasto wyszukiwania nowości, przedstawię im nieco obszerniéj rzecz starą, przypomnę żywot Józefa i Szymona, zauważam znaczniejsze ich przygody, odnosząc je do tworów, i całą treść ich przed oczyma wysnuję, nim z niéj odmienne zdanie o autorach zawiążę. **)

Szymon Zimorowicz znany jest powszechnie, jako sielankarz. O Józefie Bartłomieju bąknął ktoś tylko, że jednę sielankę na śmierć swéj żony napisał, tudzież pamiątkę wojny tureckiéj. Jego historyę miasta Lwowa przełożono świeżo na polskie i z téj jest znany. ***) Wszystkie wydania sielanek aż do ostatniego, Bobrowicza, ogłoszone są pod imieniem Szymona, nawet ową na śmierć żony niewyjmując. Ile w tém wszystkiém jest prawdy, obaczmy.

Szymon urodził się w roku 1604, umarł zaś w 1629 dnia 21. Czerwca, rok dwudziesty szósty życia poczynając. Za życia nic nie drukował, ale będąc już w suchotach, spisuje: »*Roxolanki, to jest ruskie panny na wesele Bartłomieja Zimorowicza z Katarzyną Duktynicką dnia* 28. *Lutego* 1629. *roku*«, a więc na cztery niespełna miesiące przed swoją śmiercią. Płód ten jest niewątpliwie Szymona, warto więc zauważać jego cechy. Hymen w postaci dziewosłęba opowiada swoje przygody, występuje za nim troisty chór, nucąc rozmaite pieśni. Jest ich około 70. Stósują się one mniejwięcéj do uroczystości, ale są między niemi i takie, które się mało lub wcale nic niestósują. Są zupełnie oryginalne, ale są i z Horacego (od 20. x. II.) licho zastósowane, lub naśladowane z Anakreonta i innych. Są wskazujące pióro wytrawne; lecz są i pierwociny niedojrzałe. Z trzech pieśni, które tu dla próby przytaczam, pierwsza jest himnem do Apolina; druga sielanką nie na wesele pisaną; trzecia piękności niepospolitéj wskazuje talent jego w chwilach ostatnich. W przypisaniu tych pieśni tak mówi:

---

*) Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśń bogini słowieńskiéj oddawam.

**) O Zimorowiczach pisali: Krasicki *tom trzeci*, Bentkowski *historya lit.*, Juszyński *dykcyonarz poetów*, Brodziński *o duchu poezyi polskiéj*, Siarczyński *obraz wieku Zyg. III.*, Chodynicki *historya miasta Lwowa*, Odyniec i inni.

***) Pierwotny jéj napis: *Triplex Leopolis*. Tłómaczenie Marcina Piwockiego wyszło 1835 we Lwowie p. t. Historya miasta Lwowa i t. d.

Te kwiatki *zbioru* mego na polach uszczknione
Kastalijskich, niech będą tobie poświęcone,
Ucieszny Rozamundzie z Lilidorą, który
Chciałeś mię był *wprowadzić* na askrejskie góry,
Kędy pod lasem siadłszy Kallirhoe śliska
Z piersi nabrzmiałych wody obfite wyciska.
Lecz daremnie, albowiem wpół zaczętéj drogi
Wściekła Lachezys kosą podcina mi nogi,
I pierwéj w niepamiętnym chce mię kąpać zdroju,
Niżbym wiekopomnego skosztował napoju.
Ztąd jako zgruchotany garniec wodę leje,
Tak znacznie we mnie siła wrodzona niszczeje.
Przetoż póki się młodość moja nieprzesili,
A dnia mego ku nocy wieczór nie nachyli,
Cokolwiekem kwiateczków zebrał na Aonie,
I jakom wiele słyszał pieśni w Helikonie,
Do ciebie chętnie niosę . . . .

I.

Niebieskie oko, klejnocie jedyny,
Lampo gorąca niebieskiéj krainy,
Ojcze gwiazd jasnych! ty skoro świt mglisty
Pocznie rozpalać kaganiec ognisty,
Natychmiast z łoża ramiona perłowe
Podniosłszy, oczy szczero-szafirowe
Na świat obracasz, a potem gdy z góry
Poczniesz rozpuszczać żarzyste kędziory,
Odległéj ziemi zdarłszy nocną larwę
Dajesz glans ziemi i pozorną barwę.
Przez ciebie drzewa z listów ogolone
Rozpościerają warkocze zielone;
Pola odarte, biorą na się szaty
Zewsząd upstrzone rozlicznemi kwiaty.
Przez ciebie lato nasycone rosy,
Gotuje bujne oraczowi kłosy;
Jesień owocem mnogim zbogacona
W frukty i smaczne obfituje grona.
Gdy zaś najniższym pokazujesz biegiem,
Akwilo z srebrnym wylatuje śniegiem,
Rzeki porywcze upornie hamuje,
Mosty na wodach głębokich buduje.
Tobie nie role, nie żyzne pasieki
Ja, twój chowaniec daję do opieki,
Ani cię proszę byś na méj winnicy
Roskosznéj, trunek dowarzał w macicy;
Lecz żądam, abym stanął tam swém czołem,
Gdzie ty rysujesz niebo świetném kołem;
Ażeby słychać było moje himny,
I skąd Boreas wylatuje zimny,
I gdzie, pozbywszy południowéj cery
Z twarzy, ostatnie patrzy na Ibery.

II.

Już słońce codzień niżéj wieczorem zapada,
A jesień coraz przystępuje blada,
Na któréj ukwapliwe i nagłe jéj przyjście
Więdnieje trawa, mdleje szmaragdowe liście,
Za nią w też tropy dybią czasy niewesołe,
Niszczeją wirydarze, lasy stoją gołe,
Zła chwila prace letnie w ogrodach pustoszy,
Lud roskoszny z folwarków ku domowi płoszy.
Po chwili ostre wichry gdy się z zimnem zwadzą,
Ostatek ozdób wdzięcznych przeszłéj wiosny zgładzą,
Splondrują winogrady zarodne do czysta,
Chłodnikom zielonego nie zostawią lista.
Dla tegoż ty zawczasu Faforyno młoda
Zaniechaj dawcę uciech majowych, ogroda,
Nawiedź znowu pokoje i miasto dwójgrodne,
Twojéj bytności i twych miłych zabaw godne.
Tu ja, nie przy szemrzącym jak przedtém strumieniu,
Ani pod lipą, abo w jaworowym cieniu,
Ale raczej w alkierzu, przy ciepłym kominie
Będę pieśni powtarzał o gładkiéj Halinie.
A chociażbym też trafił bohatyrów sławnych,
Składnym rymem północnym krajom czynić jawnych,
Lecz takowa zabawa tych wieków niepłaci,
Kto się jéj podejmuje, czas i pracę traci.
A przetoż ja na moim gęgnogłosym flecie
Wolę ogłaszać oczy pieszczone po świecie,
Bo gdy we mnie które z nich uderzy ochotnie,
Swym wzrokiem nagrodzi mi robotę stokrotnie.
Teraz, póki ostatki lubieżnego lata,
Póki kresy nie miną uciesznego świata,
Pospieszajmy ku tobie: u ciebie zchylone
Gałęzie jabłka słońcem podają zwarzone,
U ciebie niepozbywa winnica brzemienia,
Ani zielnik pierwszéj swéj grzeczności odmienia,
A choćże nas tam grudzień zaskoczy zazdrośny,
Z tobą w pół zimy lubéj zażyjemy wiosny.

III.

Już Tytan konie w oceanie poi,
Już mu pochodnia dzienna z rąk wypadła,
Już późna zorza nad Celtami stoi,
A twarz rumiana troszeczkę jéj zbladła,
Już parę, którą imię tylko dwoi,
Zjednoczy węzeł małżeńskiego stadła,
Niechajże u tak lubego podwoja
Cichuchno śpiewa Kaliope moja.

Ucieszne dusze, zacni oblubieńcy,
Któż tak kosztownie usłał wam łożnicę?
Z wierzchu wonnemi ozdobiona wieńcy
Kunsztów malarskich wydaje tablicę,
Wewnątrz z świecami białemi młodzieńcy
Prowadzą do niéj z muzyką dziewicę,
Zewsząd ozdoby przednie ją okryły,
Zewsząd kwiateczki białe ją upstrzyły.

Jednak te róże po ziemi rozlane
Nie są w ogrodzie uszczknione Diony;
I te szpalery złotem przetykane
Nie są robotą królowéj z Ankony:
Także jarzęcym woskiem knoty zlane
Nie topi ogień z Pafu przeniesiony,
Ale ozdoba wszystka téj łożnice
Jest pańskiém dziełem niebieskiéj prawice.

Oto idalska bogini ją mija,
Miasto niéj miłość z empiru przychodzi,
Przed nią Cypryjczyk chibkie skrzydła zwija,
I łuk serdeczny na stronę odwodzi;
Do niéj z fortuną młodziuchna Gracya
Tysiąc roskoszy za rękę przywodzi,
A gwiazdy, świetne rozpaliwszy lice,
Płomień na ślubne z oczu miecą świce.

Ponieważ tedy nieba wam przychylne
Do tego stanu, który bóg ustawił,
Te miejcie wróżki odemnie nie mylne,
Że, was do końca będzie błogosławił.
On sam nad wami oko mając pilne
Pomnoży łask swych, których was nabawił,
Bowiem tym stanem bóg się opiekuje,
Który do jego woli się stósuje.

Jako dwie palmy w idumskim ogrodzie,
Kiedy się wzrostem jednostajnym zgodzą,
Głową tykają nieba, a na spodzie
W bystrym strumieniu jordanowym brodzą;
Wszystkie zazdroszczą drzewa ich urodzie
A one owoc corok smaczny rodzą;
Tak też dwie dusze wasze w jedném ciele
Wydadzą kwiatów i owoców wiele.

Umarł Szymon. Pochowany w Krakowie, jak świadczy nagrobek przytoczony u brata. *) Nierychło zebrało się mu

*) *Viri illustres civitatis Leopoliensis per Bartholomaeum Zimorowic. Leopoli* 1671.

na wydanie Roxolanek. Wydał je przecież w Krakowie 1654. Aliści w lat dziewięć po tém wydaniu, a w lat trzydzieści cztery po śmierci Szymona jawią się *Sielanki nowe ruskie*, wydane, jak na tytule powiedziano, *przez Szymona Zimorowicza lwowianina.* Zbiór ten dwakroć od Roxolanek większy góruje nad nimi wartością. Nasuwa się tedy pytanie, kiedy się zerwał Szymon ku sielankom nowym, gdy mu od ułożenia Roxolanek cztery niespełna miesiące chorowitego życia zostało? Nim to rozwiążem zajrzymy pierwéj w żywot Józefa Bartłomieja.

»Ujrzałem światło,« mówi on, »w dzień S. Bernarda (1597.) na ulicy glinianskiéj.« Rzeźbiarzem miejskim był ojciec i miał tu niewielkie gospodarstwo. Ztąd niedaleko wyzierał z między śliw i jabłoni dworek Szymonowicza. Obaj mieszczanie znali się osobiście, ;obaj się wznieśli zdolnością. Tamten był synem miejskiego rajcy, ten nim sam został. Tu się rozchodzą ich drogi. Tamten kończy nauki w Krakowie, bawi potém na dworze możnych, w ich towarzystwie, dla ich poniekąd zabawy życie przepędzając, ten się czas długi zajmuje gospodarstwem, późniéj sprawami miasta: dzieli jego przygody, przebywa klęski, odpiera oblężenia i takowe opisuje. Trzy razy szedł pieszo do Częstochowy, po przebytém szczęśliwie powietrzu, pieniem za uratowane życie dziękując. W pamiętném 1672. oblężeniu rostropność jego i męstwo ratowały miasto. Mocne zamiłowanie domowych kątów odzywa się często w jego pismach; na niém osnuty charakter jego tworów. »Ustroń ta,« mówi o ulicy glinianskiéj, »miléj się do mnie nad inne uśmiecha. Ona widziała mój wiek dziecinny, pielęgnowała chłopięcy, młodzieńczy pierwiastkami nauk kształciła. Dym jéj świecił mi w méj młodości jaśniéj od najpłomienistszych ogniów; a dziś (1648.) pożarami jędz ruskich nad miarę zgęszczony, wyciska łzy. Dwieście domów liczyło to przedmieście, teraz w kupę popiołów zmienione ledwie ma kilka chatek; ja jednak zapomnieć o niém nie mogę . . . *)« Z żoną, któréj zaślubiny Szymon opiewał, żył lat 24, i miał kilkoro dzieci. Rodzice jéj byli właścicielami cząstki przedmieścia *Kalicza-góra.* »Na jéj przyczołku,« mówi, »postawiłem zeszłego lata (1656.) dworek, gwoli własnéj rozrywki, jako port mojéj starości tuż doganiającéj kresu. Często tu szukam schronienia nie chcąc zatonąć całkiém w pospolitych sprawiech, i na ustroniu słodzę pracą przyjemną społecznéj troski gorycze . . **)« Umarł w późnéj starości, kronikę swoją do roku 1633. dociągnąwszy. Poetą znał go Szymon i takim czci go w swoich Roxolankach, poetą znali go współcześni i sam się nim kilkakrotnie mianuje. ***) Czytajmy teraz *sielanki nowe.* Oto są miejsca godne uwagi.

Obmowa.

Sobiem śpiewał nie komu, *swe* nie cudze rzeczy,
. . . .
Tak ja *swe kąty* chciałem odmalować pieniem
Idąc Symonidowym niedostępnym śladem,
Bywszy i jego ziomkiem i bliskim sąsiadem.

*) Viri illustres.
**) tamże.
***) Padło mi pióro gorgonowego rumaka. Temis przyprawiła je do barków moich, a gdy Apolo promieńmi jak niemy posąg Memnona, mię raził, on mię więc brzmiącym, a tamta lotnym zrobiła. *Triplex Leopolis.*

Sielanka pierwsza.

Poeta mówi o sobie:
Choć kto inszy okrągléj i gładziej rym dzieje,
Choć sto wierszów w godzinę na papier wyleje,
A ja z gospodarnemi pszczołami na łące
Auzońskiéj, ledwie z kwiatów co soku wysącze,
Przecie lubo Apolo nie zawsze mi prawy,
Nie przestanę zaczętéj z sielankami sprawy.
Chociażże mi niesprzyja, atoli przez dzięki
Musi do pióra mego przyłożyć swéj ręki,
I powiedzić jakowe Demian z Panasem
Kobeznicy rozgwary czynili pod lasem.

Śpiewają tedy dwaj wprowadzeni pasterze. Jeden z nich mówi między innemi:

Niedopuszczą zamierzchnąć i mnie *Roxolanki.*

Poeta który na boku stoi, dodaje:

Takie rozmowy owi owcarze stroili. i t. d.

Porównawszy to z tém, cośmy w ich żywotach zajrzeli, powstaje zaraz w pierwszych stronicach wątpliwość, azali ów sąsiad Simonidowy zajęty pracowitemi pszczołami i pragnący z taką usilnością swe kąty malować jest młody Szymon? Wszakże on jest jedną z wprowadzonych tu osób; poetą więc jest tu ktoś inny. Lecz to są szczegóły mniéj uderzające. Idźmy więc daléj.

Sielanka wtóra i trzynasta.

W czasie jarmarku pod Św. Jurem odwiedzają poetę *(Miłosza)* na jakiejś górce mieszkającego dwaj przyjaciele *Leszko* i *Samujło.* Rozmowa z nimi stanowi przedmiot tych dwu sielanek. Są tu dokładne szczegóły o autorze.

Leszko.
Witajże nam cnotliwy Miłoszu!
Miłosz.
Dla Boga!
A zkądżeście tu spadli?
Samujło.
Twa miluchna droga
Jako się ma? potomstwo wiedzie się wam zdrowo?
Miłosz.
Ta jakożkolwiek jeszcze; pan Bóg zabrał owo.
Samujło.
A wam nic nie zostawił dla przypłodku?
Miłosz.
Prawie
Z czworga ani jednego . . . . i t. d.
Dziwują się potym goście:
. . . czemuby pierwsze swe dziedziny
Porzuciwszy, nad samym trzech pagórków pyskiem
Usiadłeś i stałeś się światu dziwowiskiem.
Miłosz.
Nie dla dziwów przeniosłem tu gniazdo zaiste,
Lecz niedaleko mając kąciki ojczyste
Tego miejsca sąsiedzka bliskość, widok miły
Z położeniem rozkosznem do siebie zwabiły . . .
Jać wprawdzie w pomienionych tych gruntów okole
Mam sadowinę, ogród, winnice, las, pole,
Ale iż rok zupełny ma gębę niemałą,
Niewydołam intratą tuteczną jéj całą . . .

Daléj maluje wygody miasta, piękność przybocznéj doliny, spaniały widok wyszogrodu (wysokiego zamku), pyta wreszcie, dla czegoby przyszli?

(Dokończenie nastąpi.)

Z Numerem 40stym kończy się trzeci i ostatni kwartał tomu drugiego Tygodnika literackiego, który i nadal tak jak dotąd wychodzić będzie. Szanowni prenumeratorowie, którzy złożyli na ten kwartał tylko przedpłatę, raczą, jeżeli przerwy w odbieraniu numerów nie chcą doznać, ponowić ją na przyszłe półrocze.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*